

STEFAN ŽEROMSKI

OKO ZA OKO

Stefan Żeromski

Okno za okno

«Public Domain»

Żeromski S.

Oko za oko / S. Żeromski — «Public Domain»,

Oko za oko — opowiadanie Stefana Żeromskiego, powstałe w roku 1893 i zdradzające wpływy naturalizmu. Opowiada ono historię starań panny Wandy o małżeństwo ze studentem Wawelskim oraz jego romansu z zamężną siostrą Wandy, Zofią. Sytuację komplikują uprzedzenia wynikające z faktu, że Wawelski pochodzi ze zasymilowanej rodziny żydowskiej. Cała historia przedstawiona jest w sposób ironiczny i groteskowy.

Stefan Żeromski

Oko za oko

Kiedy zawiadowca stacji Trebizondów Wielki wyekspediował pociąg towarowy wracał na tak zwaną salę klasy drugiej, aby połączyć się z towarzystwem, które przed trzema kwadransami opuścił, i otworzył drzwi wchodowe, z peronu wprost do owej klasy wiodące, oczom jego przedstawił się widok dosyć niezwykły. Zgromadzeni dokoła stołu przedstawiciele pewnego odłamu inteligencji miasta powiatowego Trebizondów tworzyli niby jedno ciało, wywijające mnóstwem rąk i nóg, chwiejące się na krzesłkach w najrozmaitsze strony i wrzeszczące dziwnymi głosami. Dwaj urzędnicy powiatowi, wtłoczeni na małą kanapę i zasunięci stołem, trzymali się nawzajem za guziki od tużurków i co chwila ośliniali w czułym pocałunku. Geometra (drugiej klasy), z pięścią i oczyma wzniesionymi w kierunku sufitu, oświadczał wniebogłosy, że nie pozwoli, aby mu ktokolwiek, kiedykolwiek, jakimkolwiek sposobem lub uczynkiem ubliżał – chociaż nikt mu nie ubliżył ani przed obecnym posiedzeniem, ani podczas jego trwania. Młody doktor miejscowy, czarny i chudy jak sztalugi Żydek w niebieskich binoklach – zwany złośliwie przez bogobojne stare panny „kościotrupem z bakami” – pluł bez skrupułu na środek stołu w kufle piwa i na kamizelki sąsiadów, mruczając od czasu do czasu, że będzie pluł i nikt nie może go zmusić do odmówienia sobie tej przyjemności. Ryżawy telegrafista wymiotował melancholijnie na kolano inżyniera powiatowego, który przyglądał się temu procesowi z wyrazem niekłamanej życzliwości. Podtatusiały „pan profesor”, pełniący obowiązki filozofa i ateusza powiatowego, pukając palcem w plecy chorego telegrafisty perorował coś na temat „konwersji pożyczki” głosem przerywanym przez czkawkę w sposób tak szczególny, że monolog jego sprawiał literalnie wrażenie gdakania kury chorej na **pypcia**. Wykwintny w manierach i doborze koloru skarpetek tłumacz sądu pokoju zrywał się co chwila od stołu, klękał i składając uroczyście dwa palce w resztkach sosu na półmisku, przysięgał komuś, że go nie opuści aż do śmierci...

Stosunkowo najtrzeźwiejszy z całego tego grona pan Jaksza-Świerkowski, zrujnowany obywatel, obecnie posiadający dom i kilkanaście morgów gruntu tuż pod miastem, szlachcic kolosalnych rozmiarów, w butach z cholewami po same pachwiny – nie tyle śmiał się, ile rżał, patrząc na scenę, jaka miała miejsce w ciemnym kącie sali obok pieca. Młody student uniwersytetu Adam Wawelski – siedział tam na ziemi przed skurczonym kelnerem stacyjnym i wydierał mu rękę, którą ten, płacząc rzewnie, chował do kieszeni. Rzecz tak się miała: Wawelski zażądał od kelnera zapalki, w zamian za której szybkie udzielenie ofiarował czterdzieści kopiejek. Wzruszony kelner pocałował hojnego studenta w rękę. Demokratycznie usposobiony słuchacz prawa wrzasnął, że trupem natychmiast padnie, jeżeli służący nie pozwoli mu pocałować się również w rękę... Po długim wahaniu się kelner zezwolił, lecz sam znowu pocałował Wawelskiego w rękę. Od tej chwili zaczęło się między tymi dwoma wydzieranie sobie gwałtem rąk do całowania, trwające już od kilkunastu minut.

Zawiadowca stacji przyłączył się czynnie do towarzystwa i właśnie sama pani bufetowa krzując się zaczęła dokoła jego osoby, odkorkowując butelki, gdy nagle student Wawelski porzucił płaczącego kelnera i stanął pośród biesiadników z włosiem rozwianym i oczami tak dalece zbielełymi, że przypominały dwie bryłki masła.

– Panowie – zawołał, wyciągając rękę z gestem krasomówczym, o tyle niefortunnie, że wskazując palcem trafił w rzymski nos „kościotrupa z bakami” – ten oto wyzyskiwany obywatel (tu wskazał na skruszonego kelnera) na własne uszy słyszał, jak ksiądz Piwko z ambony mówił, że wszyscy ludzie równi są na tym padole płaczu. Proponuję, abyśmy księdza Piwkę podnieśli na naszych barkach... w górę księdza Piwkę!

– A gdzie macie tego księdza Piwkę? – zagrzmiął pan Świerkowski.

– A w Przebrzmiąłowicach, proszę łaski pana – szepnął kelner.

– No, to przecie cztery mile stąd...

– Pójdźmy, panowie, po niego – wołał Wawelski – przynieśmy go na barkach! Nie jestem wcale zwolennikiem wodzenia klas pracujących na pasku klechów, ale pójdźmy, panowie!... na barkach i w górę księdza Piwkę!... Idźciecie, łajdaki, czy nie? – krzyczał co sił, bijąc pięścią w plecy pierwszego z brzegu.

Wszyscy zaczęli z miejsc swych powstawać, aby iść po owego księdza Piwkę. Wówczas pan Świerkowski chwycił wpół Wawelskiego, nałożył mu pierwszy, jaki był pod ręką, kapelusz na głowę, wyprowadził go z sali i kazał posługaczowi przywołać dorożkę. Za chwilę wsiadali obadwaj z niemałym trudem na lichą bryczkę zaprzęzoną w jednego konia.

– Do mnie! – rozkazał eks-obywatel powożącemu Żydkowi.

Ciepły oddech gruntu, spieczonego upałem całodziennym, owionął rozpalone głowy jadących i odebrał im resztki przytomności. Za każdym uderzeniem kół bryczki o kamienie i wyboje drogi głowy ich uderzały się znienacka i rozbiegały w różne strony. Wówczas obadwaj zdejmowali cudze kapelusze i wpatrywali się w siebie nawzajem uparcie.

– Uprzejmie przepraszam – bełkotał Wawelski.

– O nie... to ja raczej przepraszam...

– No, dobrze, ale dokąd ja właściwie i z kim właściwie mam przyjemność jechać?

– Wiozę pana do mnie. Chcę pana przedstawić siostrze mojej żony. Śliczna dziewczyna! Jak żyję na świecie, nie widziałem nic podobnego...

– A, jeżeli tak... Wzruszony jestem cokolwiek. Zresztą... co mnie przyjdzie tak dalece z pańskiej żony?

– Z siostry mojej żony! Cudna dziewczyna! Co za biodra, panie, u tej kobiety...

– Ależ ja jestem zupełnie obnażony z pieniędzy! Gdzież u licha ta kieszeń!...

– Posagu ona, biedactwo, wprawdzie nie ma, ale cóż to za serce złote, co za edukacja! Ślicznie panu gra, maluje na porcelanie. Dokądże mi zresztą będzie siedziała na karku... to jest...

– Na porcelanie?! – przerwał ze zdziwieniem Wawelski. – Nie, wie pan, tego to już nie rozumiem... Przy tym to pan dobrodziej, o ile sobie przypominam, wyjąłeś mi z twarzy mego własnego papierosa...

– Mogę panu służyć moim – mruczał Świerkowski, szperając po kieszeniach.

Wózek wtoczył się w uliczkę zamiejską, wygradzoną opłotkami chruścianymi i pełną nie wysychającego nigdy błota. Z łąk wracały gromadki ludności rolniczej miasteczka z kosami i grabiami, tu i ówdzie wlokły się powoli w poprzek skoszonej murawy ku drodze „drabinki” z sianem. Przechodzący zatrzymywali się na widok zdziczałych min i pomiętych kapeluszków naszych biesiadników i przeprowadzali ich wybuchami śmiechu aż do tak zwanej szlacheckiej willi.

Willi pana Świerkowskiego była domostwem starym, dosyć niezgrabnym i zasuwanym się w ziemię. Z prawej strony przybudowano, widocznie niedawno, rodzaj baszty drewnianej z dachem spiczastym, podobnym do wieżyczek kościelnych w Szwajcarii i sprawiającym w towarzystwie poobdzieranego dachu całego domostwa efekt wielce humorystyczny. W tyle domu ciągnął się świeżo założony ogród, otoczony powyginanym i zataczającym się parkanem.

Kiedy zmęczona szkapa zatrzymała się przed drzwiami willi, nasi panowie zachęcali się uprzejmie do wysiadania w ciągu tak znacznego przeciagu czasu, że wreszcie mały woźnica zmuszony był powyciągać ich jako tako z głębi słomianego siedzenia, które zupełnie rozkopali i porozmiatali.

Ugarnirowani wiechciami słomy weszli do sieni. Gospodarz wprowadził Wawelskiego do saloniku i próbował umieścić go na fotelu, czemu jednak student oparł się z zapalem; minęli więc salon, pokój sypialny i stołowy i znaleźli się na balkonie, skąd po kilku stopniach schodziło się do ogrodu. W kącie werandy na długiej ławce siedziały dwie młode i ładne kobiety, a u nóg ich bawił się kamykami trzyletni może chłopczyk, tłusty i zabrudzony jak połeć wędzonej szynki.

– Pan Wawelski, student uniwersytetu... – wygłosił patetycznie gospodarz i złożony damom niebawym ukłon cofnął się do pokoju.

Obie te panie szybkimi, nieznacznymi ruchami poprawiły bluzki i włosy, gdy tymczasem Wawelski, usiłując wykonać nogą ruch pełen elegancji, oderwał z cementowej posadzki, pękającej i podziurawionej, znaczny kawał tynku i przyglądał mu się z oburzeniem. Drobnym ten wypadek zdetonował go tak silnie, że nagłym ruchem oddalił się na przeciwległy koniec ganku i usiadł tam na niskiej balustradzie.

– Niechże pan będzie łaskaw... – zaczęła mówić starsza powstając, lecz spostrzegłszy nagły odwrót gościa przerwała i pytająco spojrzała na towarzyszkę. Zapanowało milczenie. Szczęściem zjawił się pan Świerkowski i pragnął zagaić rozmowę.

– Uważasz, Zosiu – mówił – chciałem przedstawić wam pana...

– Co to wszystko znaczy, Wiktorze? – pytały szeptem obiedwie, gryząc wargi.

Wawelski z dystynkcją poprawił kołnierzyk i wpatrywał się w panią Zofię z oddalenia tak ponuro i groźnie, że ta ledwo mogła powstrzymać śmiech głośny.

– Będziemy musieli obadwaj odpocząć cokolwieczek, mój serdeczny przyjacielu – zwrócił się do studenta pan Świerkowski – nieprawdaż?

– Co do mnie... nie sądzę... Bądź co bądź... – mówił, wstając i prostując się pan Wawelski.

Mdlejącymi ruchami zbliżył się do stolika i usiadł na ławce zajętej przez panią Zofię i jej siostrę. Za chwilę jednak, zawiadomiwszy te panie, że społeczeństwo nie jest bynajmniej organizmem, gibnął się na bok w sposób tak zatrważający, że go natychmiast odprowadzono do gabinetu pana domu, gdzie też wkrótce zasnął na kanapie snem kamiennym. Za jego przykładem poszedł niezwłocznie pan Wiktor.

Młodzieniec nasz obudził się nazajutrz dosyć późno. Zaledwie otworzył oczy i przypomniał sobie jako tako przygody dnia poprzedzającego, usiłował zasnąć jeszcze, zaciskał powieki, aby przynajmniej nie natychmiast zaglądać w oczy gorzkiej rzeczywistości. Lecz już usnąć nie mógł. Słońce świeciło prosto w okno otwarte, zastawione siatką tiulową i rzucało na podłogę kwadratowy odbłask, posuwający się w miarę jak ciepły podmuch wiatru wpychał do pokoju lub wydymał na zewnątrz białą zasłonę. Duże muchy wciskały się do pokoju przez szczeliny i, rozbijając się o ściany i belki wybielonej wapnem powały, warczały groźnie; z okna dolatywał cichy szelest liści i brzęk os; zresztą w całym domu i ogrodzie cisza była śmiertelna.

„Ucieknę chyba – myślał zrozpaczony student – innej rady nie ma. Wyjmę z okna siatkę, skoczę do ogrodu... Po południu przyjdę, przeproszę itd.”

Zerwał się i zaczął szukać ubrania. Niestety – ubrania nie było: wzięto je do czyszczenia.

„Ładna historia! Wyobrażam sobie, jak te kobiety spojrzą na mnie, gdy się wobec nich zjawię... Gdzie ten stary arcynygus miał rozum, żeby mnie wieźć tutaj w takim stanie! Przy tym co za kapitalny kacenjamer...”

Drzwi się nagle otwarły i weszła pokojówka wzrostu kirasjera. Położyła ubranie na krzeselku i uciekła co tchu, parszkając śmiechem.

– Zaczyna się... – mruknął Wawelski wstając.

Umył się i ubrał szybko, marząc rozkosznie, że może nikogo w domu i ogrodzie nie spotka, wymknie się niepostrzeżenie i uniknie przynajmniej na teraz wstydu. Wkrótce był gotów i zauważywszy, że w sąsiednim pokoju nie ma nikogo, wsunął się tam na palcach, wyjrzał przez okno wychodzące na ogród i zaklął z głębi serca. W bliskości balkonu widać było między drzewami zielone słupy niezgrabnej huśtawki i ową siostrę pani domu, kołyszącą się niedbale z książką w rękę. Piękna panna miała na sobie jakąś jasną suknię, nogi jej, obute w żółte, letnie pantofle, muskały rozłożyste trawy, uniesiona cokolwiek spódnica odsłaniała niesłychanie ładne pończochy na niebywale zgrabnych łydkach. Ciemne włosy, zdobiące jej piękną głowę, uczesane w sposób najmodniejszy, to połyskiwały i lśniły na słońcu, to się zanurzały w znikomy, przejrzysty, ledwo dostrzegalny cień, jaki odrzucały drzewiny owocowe.

Z głębi ogrodu szła uliczką pani Świerkowska i zbliżyła się do huśtawki. Była podobna do siostry i może o dwa lub trzy lata tylko od niej starsza.

„Co ja właściwie tym paniom powiem, gdy się wobec nich zjawię? – myślał zrozpaczony Adam. – O, Boże!”

Układał jeszcze w ciągu jakich dziesięciu minut pięknie brzmiące tyrady, a wreszcie otworzył z trzaskiem drzwi i przymrużywszy oczy wszedł na uliczkę ogrodową.

– Kto widział, panie Wawelski, tak się upijać? – zawołała pani Zofia, nim się zdołał do huśtawki zbliżyć. – Z naszymi panami trzeba się znać z wielkiej odległości, inaczej będą pana co kilka dni wyciągali na te ohydne pijatyki. Nie wiem, czy nas pan sobie przypomina: jestem żoną pańskiego „serdecznego przyjaciela”, a oto moja siostra, Wanda. Czy głowa pana boli? Wczoraj jeszcze dałam znać mamie pana, aby się nie obawiała...

– Doprawdy, nie wiem, jakimi słowami przeprosić panie... – jęknął Wawelski, myśląc w głębi duszy, że to jednak dobra **baba**.

– Wiemy dobrze, że nie doświadcza pan uczuć przyjemnych, toteż nie będziemy wcale mówili o tej przygodzie. Skąd się pan wczoraj wzięłeś między tymi obrzydliwymi biboszami?

– Przypadkowo zaszedłem na dworzec, a że znałem doktora Daktylberga jeszcze z Warszawy, jakoś więc tak...

– Teraz napije się pan herbaty z cytryną, a nieco później rosółu. Głowa przestanie boleć. Chodźmy, Wanducho; proszę pana...

– A gdzież pan Świerkowski? – zagadnął Adam.

– O, on dawno już odebrał należne natarcie uszu, teraz jest znowu na dworcu... ekspediuje sery do Warszawy.

– Dawno już pan bawi w Trebizondowie? – zapytała panna Wanda, wstępując na ganek.

– Od dwu tygodni. Matka moja utrzymuje, jakoby tutaj było przepyszne powietrze, jakobym ja był chory na płuca, najęła w willi Odrobinka mieszkanie i zmusza mnie pośrednio do takiego oto jak wczoraj przepędzania czasu.

– Ach... więc to mama pańska zmusiła pana?...

– No... nie! ale absolutna samotność. Las i las... Myślałem, że zdziczeję zupełnie i zacznę chodzić na czworakach.

Przy stole panna Wanda siedziała naprzeciwko studenta i przyglądała mu się od czasu do czasu bacznie dużymi oczami, lazurowymi jak niebo w południe. Pani Zofia zajęta była nalewaniem herbaty. Była szczuplejsza od siostry, ubrana mniej modnie i jakby nieustannie o czymś smutnym zamyślona. Kolor jej oczu był prawie ten sam co u siostry, bardziej tylko jasny i jakby zamglony. Wawelski wiedział dobrze, że wyraz melancholii, tajemniczego zamyślenia, nieujęty wyraz oczu pięknych kobiet ukrywa najczęściej wybitną płytkość umysłu i oschłość, jeśli nie zatwardziałość serca, a jednak nie mógł się oprzeć urokowi, jaki wywierały oczy tej mężatki. Było to wejrzenie łagodne, miękkie, dobre i ufające; wyrażało jakby przystosowywanie się subtelnych myśli i delikatnych uczuć do przymusowo narzucającej się rzeczywistości, nieskończenie od tych myśli dalekiej. Popierało takie wrażenie – gładkie i białe jak welinowy papier czoło, otoczone jasnymi, zaczesanymi w górą włosami – i usta. Co za usta! Jeden jedyny Greuze umiał utrwać tę właśnie, tkwiącą w pewnych twarzach kobiecych, harmonijną melodię rysów, jakiej nie mógł się do syta napatrzeć Wawelski w twarzy pani Świerkowskiej.

„Rany Pana Jezusa! cóż za śliczna baba... – myślał, połykając gorącą herbatę. – I to ona jest żoną aligatora...”

– Pan kończy już zapewne uniwersytet? – zapytała panna Wanda.

– Właściwie mówiąc... Jeszcze nie kończę. Powziąłem zamiar przestudiowania pewnych umiejętności na tym samym kursie.

– Aha... jest więc pan pewno prawnikiem?

– Tak, pani.

– Znałam bardzo wielu studentów prawa, będąc jeszcze na pensji.

– Kończyła pani pensję w Warszawie? Dawno ją pani opuściła?

– Przed trzema laty.

– Obecnie chwilowo wypoczywa biedactwo u nas – wtrąciła pani Zofia – po trudach i nudach zawodu. Była nauczycielką w pewnym domu obywatelskim. Niegdyś, będąc dziewczętami, nie przypuszczałyśmy, że jedna z nas będzie się zajmowała wyrabianiem serów, pieleniem rozsady i ogórków, a druga zapracowywała na utrzymanie tułaniem się po domach obcych.

Panna Wanda spojrzała na mówiącą z pewnym wyrazem surowości i zmusiła ją do milczenia. Wawelski nie brał bardzo do serca zmiany losu, jaka zaskoczyła te panie; toteż uśmiechając się nieodpowiednio, myślał tylko o tym, jak by wyjść z honorem z całej tej afery.

Po herbacie pani Świerkowska zaproponowała swemu gościowi mały spacer. Z ganku widać było kawał łąki już skoszonej – gładką, równą, jasnozieloną nizinę, od której nie można było oderwać oczu. Pośrodku łąki stała grupa szarozielonych olszyn. Małeńki ten a dziwnie uroczy krajobraz otaczały jakby ramionami smugi lasu sosnowego. Cały ogród skrzętnie i pracowicie uprawiony był pod przeróżne ogrodowizny. Wzdłuż i w poprzek przecinały go uliczki, wysadzone krzakami agrestu, porzeczek, malin i drzewami owocowymi. Od tła jasnej jeszcze zieloności młodych listków, powleczonej jakby lśniącym pokostem – płomienistą smugą odrzynało się staję wysokiego i kwitnącego pąsowo maku, dalej kilka zagonów kartofli, przyprószonych kwiatem niby śniegiem. Kwitły i pachniały młode lipy – rozlegał się wszędzie melodyjny gwar pszczół, trzmieli, os, nieprzerwany krzyk kosów i pogwizdywanie wilg. Pod parkanem rosły dokoła ogrodu dwa zagony grochu tyczkowego, rozrosłego bujnie i tworzącego istny las, pełen uliczek, grot, zieleni, korytarzy i tunelów. Tylna część płotu ginęła całkowicie w zaroślach dzikiego chmielu. W rogu tego wału z roślin kryła się wąska i niska furtka. Pani Zofia otworzyła ją wyjętym z kieszeni kluczem i stanąwszy już po tamtej stronie płotu, doradzała młodemu, aby pozostali w ogrodzie – tam bowiem, dokąd ona idzie, około inspektów, rosa jest jeszcze.

„Zdaje się, że to polowańko na mnie” – pomyślał Wawelski.

Zacząła się tedy rozmowa mdło-dowcipna: o maku, fasoli, Schopenhauerze, pięknej łące, emancypacji kobiet, o słowikach, o ciekawości jako zgubnej wadzie, sięgała już nawet takich wyżyn jak deklamowanie piosenki Heinego:

*Wenn ich in deine Augen seh',
So schwindet all' mein Leid und Weh;
Doch wenn ich küsse deinen Mund... itd.*

gdy na ulicze zjawił się pan Świerkowski.

Szedł, śmiejąc się i z odległości czterdziestu kroków wyciągając do Wawelskiego prawicę jak skrzydło wiatraka.

– Tośmy, panie, komedie wczoraj pokazywali... ha! – wołał, kłując policzki studenta nie goloną od tygodnia brodą. – Jakże tam kacencjamerek... dokuczta psubrat! A ja, panie łaskawy, musiałem od rana awanturować się z tymi serami. Kapelusz pański znalazłem aż u profesora... Eh... barszczu by teraz, barszczu kwaśnego! A gdzież to Zosia?

– Przy inspektach – rzekła panna Wanda.

– Aha. Tak to, uważa pan, nasza szlachta do roboty się bierze. Teraz dopiero zrozumiałem, gdym na zagrodowca zeszedł, że gdzie pan, drogi panie, nogą stąpisz, tam leży, jeżeli nie cały rubel srebrem, to na pewno siedemdziesiąt pięć kopiejek! Dasz pan wiarę, że ja z dziesięciu morgów i z tej oto łączki utrzymuję dom, żyję...

– I bawię się przynajmniej raz w tygodniu na dworcu... – dorzuciła panna Wanda.

– Z dziesięciu morgów ziemi – wołał, nie zwracając uwagi na sarkazm, aż mu żyły na czole nabrzmiały. – Trzymam osiem krów, wyrabia się sery, masło, szczerze mówiąc, letników warszawskich obciąga się należycie na mleku. Ogórki takie widziałeś pan też kiedy za żywota swego? To wszystko **furt** do Warszawy idzie; maliny, porzeczek, agrest, włoszczyzna... wszystko! A owoce?

To śmiech! Zasypię tę waszą Warszawę moimi śliwkami za jakie dwa lata. Teraz, panie, z książek się uczę o uprawie cykorii. To może być artykuł! co też pan sądzi?

– Ja, uważa pan...

– Myślisz pan może, że Żydom oddam moją cykorię?... akurat! Wie pan, co ja panu powiem – mówił dalej, biorąc Wawelskiego pod rękę i zniżając głos do szeptu demonicznego – wiesz pan, co ja zamierzam? Zamierzam ni mniej, ni więcej, tylko... jajami handlować! Odrobinę kapitału niech mam... no, jakieś kilkaset rubli... i mogę do konkurencji z Żydami stawać. Taki, panie, u nas pozytywizm się zagnieżdża!

– Pozytywizm... – dziwił się Wawelski, obserwując uśmiech panny Wandy, z jakim oskubywała listki polnej skabiozy.

Długo, szeroko i patetycznie rozповідаł pan Świerkowski o daleko sięgających planach założenia w Trebizondowie sklepu akcyjnego, gdzie on pełniłby rolę subiekta, o nieuniknionej ruinie handlu żydowskiego dzięki samej tylko niżce na żelazie, o uprawie pszenicy sposobem pana Pełłowskiego, o melioracjach, nawozach sztucznych, nawet o azocie i Liebigu – i piorunował na niedołęstwo szlachty.

– Ja sam, niestety, takim capem byłem... Nie piłem, nie jadłem, w karty-m nie grałem... i rozlało się; gdzie, jak i kiedy... nic nie wiem. Żydy, panie, o, tu jest rdzeń... Co prawda – szeptał Wawelskiemu do ucha – czasami tam z tymi aktorkami... pojmuje pan? Przyjedzie do miasta gubernialnego stado takich ładnych bestii, że ani podobieństwo wytrzymać. Tak; to była rubryka także swego rodzaju... Ale dziś mi się, panie, oczy otworzyły: sami rękawy powinniśmy zakasać albo, panie, **kaput!** Na mnie już dowcipnisie anegdoty układają. Opowiada jeden na przykład, jeden pędziwiatr, że jedzie niby bryczką, aż tu patrzy... na drodze leży kupa jaj potłuczonych, a między skorupami biała karteczka. Co takiego? Podnosi on tę kartkę... patrzy... bilet wizytowy, na którym stoi moje nazwisko: Wiktor Jaks-Świerkowski. To ma być dowcip, że niby mi się jaja w drodze potłukły i żem tę jajecznicę, w braku innego przyrządu, biletem wizytowym zgrzebywał. Głuptasy! ja jeszcze pieniądz zrobię, gdy oni... No... ale chodźmy na barszcz, bo rzeczywiście w ustach, uczciwszy uszy, jak w niewyszlamowanym stawie.

Wkrótce po spożyciu owego barszczu, podanego rączkami panny Wandy, Wawelski ruszył najbliższą drogą do domu, żegnany czule i zapraszany nadal uroczyście.

Pan Józef Wawelski, nieboszczyk ojciec Adama, posiadał swego czasu w jednym z miast prowincjonalnych świetny „interes” mydlarski, składający się z fabryki na wielką skalę i dużego sklepu. Wawelscy pochodzą z Żydów, chociaż dziad Adama był już żarliwym katolikiem, a i pradziad podobno jawnie świninę jadał, chociaż pozornie trwał w wierze ojców. Pan Józef był człowiekiem prostym, nigdy żadnym umiejętnościom się nie oddawał, nie miał żadnego „sposobu myślenia”, bardzo rzadko wypuszczał spodnie na cholewy i miał wówczas minę zakłopotaną; interes prowadził sprytnie, pracował zapamiętale i według powszechnego mniemania dorobił się majątku uczciwie, a przetrzącał parobkom piszczelę i miażdżył nosy chłopcom sklepowym w sposób tak mistrzowski i rodzimy, jakby w żyłach jego płynęła odwieczna krew sarmacka. O umeblowaniu salonu, powozie i przyswojeniu sobie przekonań plutokratycznych pomyślał dopiero pod koniec życia, i to nie z własnej inicjatywy, lecz ulegając natarczywym żądaniom żony – Róży z Rubinów. Przez cały czas małżeńskiego pożycia pani Róża była prawą ręką męża w gromadzeniu majątku i nie zdradzała żadnych niewłaściwych nawyknień; dopiero gdy jedynak Adaś przestał wykradać pierniki z szuflad sklepowych otrzymawszy promocją do klasy czwartej, nabrała skądś zupełnie niezrozumiałych dla starego mydlarza pojęć o „tonie” i przebąkiwać nawet zaczęła o jakimś *high-lifie*...

– Powinieneś pojąć – mawiała do męża w pałacu – że obecnie czasy demokratyczne... Jesteśmy katolikami i Polakami... byle chcieć, chłopiec do najlepszych towarzystw dostać się może. Bóg wie, z kim ożenić!

– Róziu – odpowiadał zazwyczaj pan Józef – ja ciebie bardzo kocham i bardzo cię przepraszam, ale ty jesteś głupia. Niech on skończy sześć klas, no, gimnazjum całe niech skończy, i obejmie fabrykę. Ja jestem już stary, będę siedział w sklepie i tych złodziejów pilnował...

Nic jednak nie pomogły perswazje. Adaś po ukończeniu gimnazjum wyekspediowany został do Warszawy na wydział prawny. W rok niespełna po jego wyjeździe pan Józef zaniemógł nagle i skończył życie, nim syn wezwany telegraficznie zdążył przyjechać. Wdowa niezwłocznie interes zwinęła, odstąpiwszy go na lichych warunkach; przeniosła się do Warszawy i żyjąc z procentów od kapitału, usiłowała wprowadzić syna w świat. Latem wyjeżdżała zawsze jeśli nie do wód galicyjskich, to przynajmniej do Trebizondowa.

Adaś, który w gimnazjum z klasy do klasy **piecem** przechodził, w uniwersytecie okazywać zaczął talenty niebywałe. Nie dość że masy książek czytał, ale wygłaszał niejednokrotnie w obecności matki, fanatycznej katoliczki, i niemniej po katolicku myślących jej znajomych takie zdania, takie zasady, że włosy powstawały na głowie. Okrzyk Börnego: „Zginajcie się w haki i zarzućcie się na ogniwa świata, a o tym wiemy, że go w dobrym pociągnięciu kierunku!” – był ulubionym jego okrzykiem. Utrzymywał o sobie, a może i nawet w to wierzył, że jest jednym z owych haków zarzuconych na ogniwa świata. Po przodkach Adaś nie otrzymał w dziedzictwie żadnych nadzwyczajnych popędów altruistycznych, wychowanie nie wszczepiło mu ich również; nadto nie doświadczył jeszcze żadnego prawie cierpienia, nie wiedział, co to jest właściwie ów pan nad pany – głód, co znaczy choroba, której nie ma za co leczyć, nędza, której nie ma końca, nie wiedział nawet, co to jest brak biletu do cyrku. Nie zdarzyło mu się ani razu zajrzeć z bliska w wygniłe oczy niedoli i zrozumieć gorzką potrzebę niesienia krzywd i grzechów świata we własnym sumieniu, toteż życie właściwie było dlań wesołą komedią, skupieniem werand cukierni, przyzwoitych salonów, wesołych kobiet, modnych ubrań itd.

Znienacka wdarty się do tego świata promienie dalekowidzącego humanizmu i wytworzyły w umyśle Wawelskiego szczególne, raczej artystyczne niż naukowe, zamiłowanie do nazw i obrazów niedoli, z jakich znowu spletał się wieniec „przekonań”, dający jego posiadaczowi niewyczerpany temat do rozmów, sprzeczek, dysput i dowodzeń. Naturalnie zjawiał się zaraz wstąpienie do „kompromisów”... Z przerażającą oczywistością Adaś wyłuszczał w salonach bogatym a oburzoną do najwyższego stopnia eks-Żydom, co, kiedy i w jaki sposób stanie się z tą lub ową klasą społeczną; wiedział na pamięć, do jakiego paragrafu wciągnąć dane zjawiska, i przepowiadał rzeczy przyszłe. Wyznać należy, że był w przyswojonych sobie zapatrywaniach bardzo konsekwentnym.

Owo kochanie niedoli, zagładanie z bliska w wygniłe oczy itd. – uważał wprost za szkodliwe dla umiejętnego badania i przeprowadzania w życiu umiejętnych wskazań. Znał i chciał znać fakty pozytywne, przyczyny i skutki – wszelkich zaś „mar mglistych” oraz wszystkiego, co z nimi ma związek, nie uznawał, ponieważ ich nie rozumiał, a więc nie uważał za potrzebne powstrzymanie się od opluwania ich, o ile to mu się wydawało koniecznym. Był natomiast o tyle bezstronny, że wyjeżdżając na wieś zamierzał niejednokrotnie przyjrzeć się tak zwanemu ludowi, lecz że między willą Odrobinka a najbliższą siedzibą „ludu” leżał ogromny kawał zarosłego pastwiska, porzucił więc tę myśl w samym jej zarodku, tym łatwiej, że popieranie interesów chłopskiego podwórka nie mieściło się na horyzoncie jego altruizmu. Siedząc w Trebizondowie, zachodził z nudów na dworzec kolejowy, nie wiedział bowiem, że sala drugiej klasy tego dworca stanowi dla mężów trebizondeńskich pewnego rodzaju *agorá*. Owego pamiętnego popołudnia wypadło właśnie tygodniowe zebranie i Adaś wciągnięty na nie został na prawach członka nadzwyczajnego, wskutek czego spił się nadzwyczajnie.

W kilka dni po pijatyce pani Wawelska, pragnąc podziękować państwu Świerkowskim za opiekę rozciągniętą nad jej synem, przyoblekła się w jedwabne szaty oraz biżuterię i pojechała z wizytą do willi szlacheckiej. Adam towarzyszył matce. Zaledwie pani Róża zaczęła nudzić panią Zofię długimi okresami, panna Wanda wysunęła się z saloniku do ogrodu. Wawelski przyglądał się przez czas pewien starym, powygniatanym fotelom i niezwykle zakopconym sztychom, wyobrażającym jakieś krwawe boje, przerzucał numery „Kłósów” sprzed lat ośmiu, a

wreszcie, zachęcony filuternie łagodnym uśmiechem pani domu, wyniósł się również. Panna Wanda przechadzała się po zacienionej uliczce w głębi ogrodu; gdy zbliżył się, przechyliła niedbale głowę i rzekła:

– Myślałam, że się pan już nie domyśli...

– Czego?

– Tego, że tyle czasu, bo pewno z kwadrans, nie jest pan przyjemnym warszawiakiem.

– Dla siostry pani?

– Dla siostry mej siostry.

– Ach, Boże! Ja ani tam, ani tu nie umiem być przyjemnym.

– I czemuż to, biedny panie Adamie?

– Bo straciłem wszelkie probierze krytyczne...

– Pragnęłabym szczerze współczuć panu, ale nie rozumiem, co to znaczy.

– Idzie tutaj o kolor błękitu. Raz wydaje mi się, że najpiękniejszym jest jasny błękit, kiedy zaczyna się zmierzch, to znowu czaruje mię lazur południa, czaruje jak preludium Chopina.

– I długo trwa ten ostatni stan bolesny?

– Trwa chwilkę, ale...

– Wiem: ta chwilka to wieczność. Czytałam już o tym w ponurych nowelach. Niech się pan upaja chłodem wieczornego błękitu – mówiła, siadając na darniowej ławce, otaczającej dokoła grubą pień jabłunki.

– Chłodem? Co znowu? Poezją, proszę pani, dramatem wreszcie. Ale ja przecież jestem podobno synem Południa: złośliwi nazywają, co prawda, taką przykrą południowość po prostu żydostwem; więc, jako niby syn Południa, kocham tylko te szafiry ciemne, cudowne, porywające...

– Aż kocham? Panie Wawelski, synu Południa...

– Aż kocham!...

– No i cóż się dalej stało w tej noweli?

– Piękny bohater truchleje z trwogi, że przepiękna bohaterka nie pozwoli mu usiąść obok siebie.

– Nieszczęśliwy! Czyż nie znajduje dokoła siebie na tym padole płaczu jakiegoś krzeselka?

– Krzeselka... nie, ale znajduje w sobie tyle odwagi, że siada obok ubóstwianej.

– Rozumie się, na brzeżku kanapy.

– Ponieważ okrągłe kanapy nie mają żadnego brzegu...

– Więc biedak stoi, a pragnąc być uprzejmym i zajmującym zrywa różę, tylko nie tę sztamową, bo to pan Świerkowski sprzedaje po piętnaście groszy za sztukę, ale tamtą, z tego dużego krzaka, pąsową...

Adaś zerwał wskazaną różę i niosąc ją ostrożnie, mówił:

– Bohater dotyka różę ustami...

Panna Wanda oparła głowę o pień drzewa i przyglądała się Wawelskiemu spod rzęs. Ledwie dostrzegalny rumieniec zabarwił jej policzki.

– Co pan powiedział? – zapytała cicho.

– Mówiłem – szeptał Adaś siadając obok niej bardzo blisko – że...

– Ależ, panie Adamie, jak pan śmie!... – mówiła z oburzeniem udanym, odsuwając się od niego na odległość cala.

– Czyż ja śmiem cokolwiek?... Chciałem tylko, aby pani dotknęła paluszką tej róży.

Pochylił się bliżej ku jej skroniom. Zapach włosów i ciała na wskroś go przeniknął. Słyszał, jak mu bije gwałtownie serce, widział, jak jej oczy ciemnieją, niby od napływającej do tęczy fali błękitu, jak białka pokrywają się siateczką delikatnych naczyń, jak usta rozchylają się i pąsowieją, i przepyszne ramiona ledwie dostrzegalnie drgają.

– Niech pan usiądzie tam, dalej... Proszę wziąć sobie tę różę i przypiąć do żakietu.

– Nie dotknie jej pani ani jednym paluszką? Nie prawą ręką, broń Boże! lewą... Przecież lewą można, o, tym paluszką...

Położył na jej wypięszczonej i miękkiej jak bukiet fiołków rękę swoją i gładził ją, ledwie dotykając. Gdy chciał tę rękę podnieść do ust, panna Wanda usunęła ją, uśmiechając się przekornie. Teraz wstrząsnęły nim te same dreszcze i jakby odebrały mu samowiedzę. Pochylił się nagle i ucałował usta panny Wandy.

– Ach! – krzyknęła gwałtownie i zerwała się z ławki, lecz ręka jej pozostała w jego dłoni. Stała z przymkniętymi powiekami przed Adasiem, obłana po brwi rumieńcem.

Z tego gwałtownego jej ruchu, z tej nawet chwilowej bezwładności Wawelski wywnioskował, że na ustach panny Wandy złożył pocałunek – on pierwszy. Sprawilo mu to nieopisaną, przez mgnienie oka trwającą rozkosz. Schylił się, aby nieznacznie pocałować jej rękę, którą pieścił; wtedy panna Wanda wyrwała ją i odeszła.

Z odległości kilku kroków rzekła, nie odwracając się:

– Proszę nie iść za mną, bardzo pana proszę...

– Panno Wando, niech mi pani przebaczy! – mówił Adam w pewnego rodzaju zgłupieniu. Nie wstał jednak z ławki. Z dala od ganku słychać było rozmowę zbliżających się pań starszych.

Panna Wanda wracała ku ławce. W oczach jej cudnie zawstydzonych malowało się ukrywane pod maską min przeraźliwie surowych uczucie szczerzej i radosnej rozkoszy. Zbliżywszy się mówiła ze zmarszczonym czołem i nie patrząc na winowajcę:

– Co pan zrobił? Jak pan się ośmielił? Co za bezczelność!... Ja teraz chyba ospy dostanę ze wstydu!...

– Ja panią przepraszam, ja serdecznie żałuję, ale pani ma takie prześliczne oczy...

– Znowu bezczelność!... nie, wie pan, że to coś przerażającego!

Stała tak blisko, że Adam nie mógł się powstrzymać, aby jej nie objąć. Nim pani Wawelska i pani Zofia weszły na uliczkę, zdołał przyciągnąć pannę Wandę do siebie łagodnie i w ciągu niewysłowionej sekundy trzymać ją w objęciach. Panna Wanda była pewna, że w tej chwili bogaty młodzieniec oświadczy się o jej rękę i dlatego nie opierała się. Wtem usłyszała rozmowę i odsunęła się chyżo. Pani Wawelska szła uroczyście, wykładając coś bardzo poważnego. Gdy podeszły blisko, pani Zofia przyglądała się siedzącej na ławce parze z uśmiechem zadowolenia. Stara dama zajęła miejsce na ławce i potoczyła się rozmowa, wahając się między powieściami Kraszewskiego a konfiturami z niedojrzałego agrestu.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.